

Marcin Maślanka

CZAPKA PRZEMIENIENIA

Życzenia ważnych ziemskich osobistości – wśród nich Eri i Hala Breggów, profesora Tarantogi, nieodżałowanego profesora Corcorana, komandora Pirxa, czy dra Stefana Trzynieckiego, abym – wbrew wrodzonej skromności – odkurzył wieczne pióro i zachował dla potomności tę historyjkę, w którą byłem się niechcący wplątałem, tak przybrały ostatnio na natarczywości, iż istotnie postanowiłem wyjawić publice zarys perypetii, dzięki którym (o czym pojęcie, a i to blade, mają tylko nieliczni) ten padół, gdy rzucić nań spojrzenie z orbity, wciąż nie przypomina sławetnego spieczonego kartofla. Za pióro jednak, mimo szczerych chęci, nie chwyciłem – bom już żadnego przy życiu nie znalazł, choć wywróciłem biurko, w przenośni i literalnie, do góry nogami. Piszę toteż z pomocą telefonu, na przemian chuchając w ekran i rozcierając zgrabiące palce. Za cztery godziny, co wesoło komunikuje mi urządzenie, skończy się bateria, a w Himalajach – na takiej wysokości, na jakiej spędzam wielce zasłużony urlop – wciąż nie instaluje się gniazdek elektrycznych. W ten sposób z wyprzedzeniem odpowiadam na niechybne zarzuty o nadmierną, być może, zwięzłość niniejszego traktatu.

A wszystko zaczęło się od hipno bejsbolówki dla starego Donalda Trumpa. Ów śpiący na mamonie donkiszot psuł wtenczas nieźle krew wszelkiej maści lewactwu, co wieczór bulwersując wyznawców *political correctness* rubasznymi przytykami pod adresem tych Amerykanów, którym przytrafiło się trochę opalić, przyswoić hiszpański bardziej niż angielski, oraz urodzić po drugiej stronie płotu. Problem urósł do rangi diabła niecierpiącego zwłoki w chwili, gdy wspomniany nieokrzesany krezus, rozłożywszy na łopatki w istic jankeskim stylu sforę wewnętrznych kontrkandydatów, wychynął, *sure shot*, na ostatniej prostej do wiadomego fotela. To wtedy rozdzwonił się mój czerwony telefon. Naturalnie, nie był to taki stacjonarny, bakelitowy aparat ze spiralnym sznurem, jaki widuje się nieraz w archiwalnych filmach szpiegowskich. Miał jednak rzeczywiście czerwoną obudowę – i rzeczywiście zadzwonić nań mogła tylko Elżbieta II, Dalajlama, aktualny papież, prezydent Iranu, Wałęsa, Gorbaczow, oraz wybitnie wąskie (i wciąż okradane przez nieubłaganą biologię) grono podobnie wpływowych osobistości. Lem, gdy żył jeszcze, zwykł mawiać, że wkrótce na czerwonej linii pozostanie mi tylko Święty Mikołaj. Sam lwowiak nigdy z niej, *by the way*, nie skorzystał. Ale odszedłem, po mojemu, od tematu.

Więc zaczęło się od bejsbolówki Trumpa. Każdy, kto przyglądał się czasem transmisjom z jego wieców wyborczych, wie, że zgromadzenie niemałej fortuny nie przeszkodziło mister Donaldowi co rusz przywdziewać nader sfatygowanych nakryć głowy, budzących całkiem nie-lukullusowe skojarzenia – co najmniej z kierowcą *road train*, by nie rzec – z kloszardem.

W jego słabości do takich kaszkietów tkwić miała nasza siła.

Plan, krótko rzecz wzięwszy, był prosty – przynajmniej z pozoru. Zasadzał się zaś na tym, że podziemny sztab ekspertów spreparuje fikuśną, elektronową hipno-furażerkę, która, jeśli regularnie przywdziewana na Trumpią łepetynę, dokona odpowiedniej adjustacji czynności umysłu naszego pacjenta, ze szczętem wykorzystując zeń jastrzębia i rasistę. W ten sposób nawet potencjalna wygrana nowego, przeniecowanego i utemperowanego przez furażerkę D.T., nie zagroziłaby światu żadnym Armagedonem. Aż dotąd, wszystko brzmiało świetnie – ale, czego uważny czytelnik zdążył się pewnie domyślić, potrzebny był człowiek, który nie tylko dostarczy wynalazek miliarderowi, ale również sprawi, by ten nosił go codziennie przez minimum dwie godziny. Tylko wtedy gwarantowano, że ustrojstwo wywrze odpowiednią influencję na zwoje mózgowie politykiera. Tym człowiekiem miałem być ja – Ijon Tichy.

Najwidoczniej nie zasypiano gruszek w popiele przy obmyślanu opisanej wyżej czapeczki, bo już w kilka dób od odebrania czerwonego telefonu siedziałem na pokładzie transatlantyku do New Yorku, miętosząc w dłoniach szatański wynalazek, przyobleczony w postać zgoła zwyczajną – granatowy *fullcap*, opatrzony dyskretnym, szczególnie jak na standardy Trumpa, logo Ziemi. Na próżno egzaminowałem wyrób palcami w poszukiwaniu jakichś podejrzanych chipów czy przewodów – iluzja była zupełna. Lwią część lotu zajęła mi jednak walka z wypełzłą nie wiadomo skąd kretyńską pokusą, aby wdziać ten hipnotyzerski biret na swój własny, zakuty łeb. W niewytłumaczalny sposób bawiła mnie myśl, jak jego magia adiustowałaby *moje* poglądy. Te jałowe rozterki uciął wnet bormotający w interkomie głos pilota, namawiający do zapięcia pasów z okazji lądowania.

Trumpa spotkać miałem w hotelu Filthon, gdzie odbywała się właśnie panamerykańska konferencja ds. pokoju i równości (*sic!*), na której świeżo upieczony pretendent miał nazajutrz wygłosić prelekcję. Okolica od razu wydała mi się jakoś znajoma – i, jak się szybko okazało – nie bez przyczyny, bo jeszcze w poprzednim sezonie hotel ów nosił swojską nazwę Hilton. Kryzys zrobił jednak swoje, i nieruchomość przejęły rekiny

różowego biznesu – zachowały przy tym jednak dotychczasowy profil będącego mekką establishmentu obiektu, ograniczywszy się do lekkiej adiustacji nazwy, mającej lepiej wyrażać horyzonty i preferencje nowego zarządu.

Przy wejściu powitały mnie hoże hostessy topless, z biustami pomalowanymi w loga Facebooka i McDonalds. To tylko spotęgowało kielkujące już wcześniej, dojmujące uczucie *deja-vu*. Hostessy okazały się zresztą być częścią innej, równoległej konferencji, zwołanej przez lobbystów (czy raczej: lobbystki) na rzecz prawa dam do podróżowania komunikacją zbiorową bez wierzchnich okryć w upalne dni. Jedna z dam postanowiła bezceremonialnie zapoznać się z tkwiącą pod mą pachą wiadomą czapką – niepokieszona, że nakrycie okazało się za małe na zwieńczenie choćby połowy swego dekoltu, założyła je tradycyjnie, na głowę. Tym sposobem zyskałem potwierdzenie skuteczności wynalazku, gdyż już w chwilę potem lobbystka postanowiła pozbyć się też dolnych części garderoby. Najwyraźniej, w jej przypadku hipnotyczny prąd rozszerzył i tak niewąski strumień wyuzdania. Rzuciwszy uwagę o panujących przeciągach i groźbie przewiania, odebrałem aktywistce *saute* cenny kapelusik i pozostawiłem ją w hotelowym korytarzu, ze stopami ku sobie, stulonymi udami i maślanym wzrokiem.

Znalazszy się wreszcie w pokoju hotelowym, z przerażeniem skonstatowałem, że zmitrężyłem czas z piersiastymi hostessami; do spotkania z multimiliarderem pozostały niecałe dwa kwadransy, a ja wciąż nie obmyśliłem akuratannej legendy, która skłoniłaby naszego figuranta do codziennego noszenia omawianego tu nakrycia. Bezrefleksyjnie wcisnąłem guzik pilota, zwróciwszy się ku zajmującemu dobrą połowę ściany telewizorowi. I... proszę państwa, być może Arystoteles potrzebował kiedyś wanny pełnej wody – mnie zaś wystarczył ów płaski ekran. Oto zobaczyłem pana W.P. – był to bowiem oficjalny kanał rosyjskiej telewizji – *nomen omen*, również topless, za to w hełmofonie czy cyklistówce, uganiającego się za jakimiś odtworzonymi niedawno z zamrożonego kodu (czym chełpiło się środowisko zoologów z tej części świata) mamutami. I choć nie chodziło tu ani o te wielkie ssaki, ani o rozmrożone DNA, ani o cyklistówkę, to pomyśl na to, jak zażyć Trumpa z mańki, miałem już gotowy.

- Panie Donaldzie, pan naturalnie wie, iż znalazłem się tu z ramienia Ligi Obrony Mózgu – zagailem, jak mam w zwyczaju, *va banque*, gdy wkrótce potem znalazłem się sam na sam z rekinem finansjery – mamy coś, co może pana zainteresować.

- Mister, eee... mister Tichy, ja oczywiście doceniam pański wkład w rozwój, eem, kosmologii i szanuję pana, białego człowieka, który taki szmat otchłani zwiedził, ale za dwa pacierze mam spotkanie kółka rusznikarsko-różańcowego, także... streszczaj się pan! – odparł w swym firmowym stylu nasz dwudziestopierwszowieczny Midas.

- Absolutnie, mister Trump. Proszę tu spojrzeć – to mówiąc rozjarzyłem ekran swego telefonu skrzętnie zgranym uprzednio z hotelowego telewizora zdjęciem W.P. w hełmofonie.

- No, i? Toż to stary Wołodia – wzruszył ramionami Trump.

- Uważa pan: tak dziś chroni się największe mózgi przed straszliwym wyjałowieniem – to mówiąc popukałem paznokciem w ekran, teraz przedstawiający zbliżenie hełmofonu.

- Że niby co? – politykier podrapał się po ciemieniu.

- Drogi mister Donald. Codziennie setki, ba, tysiące syndykatów, szemranych szajek i krwiożerczych korporacji czyha na fale mózgowo ludzi wielkich – ludzi takich jak pan. Sądzi pan, że widzi hełmofon? W rzeczywistości to potężna tarcza, skutecznie chroniąca autonomię myślenia pańskiego odpowiednika. To dzięki niej odnosi ostatnio historyczny sukces za sukcesem.

Trzeba był widzieć fizys Trumpa: tragikomiczną mieszankę trwogi z nudą i zniecierpliwieniem.

- Więc, co pan proponujesz? – burknął, obcinając cygaro.

Wysuplałem zza pazuchy hipnoczapkę.

- Wszystko, co musi pan zrobić, by zyskać stuprocentową, gwarantowaną ochronę, to nosić tę piękną czapkę przez trzy, cztery godziny na dobę. To stworzy izolującą kopułę magnetyczną – rzekłem najlepszym ze swych akwizytorskich tonów, robiąc przy tym celowo naddatek czasowy, a to z myślą o zapominalstwie politykiera.

Trump buchnął prawdziwie dzikim, nieokiełznanym śmiechem.

- I to wszystko? Stary, naprawdę, są prostsze sposoby, aby wcisnąć mi jakąś sponsorską czapunię – wykrztusił przez załzawione ze śmiechu oblicze – daj no pan ten szmaciak!

- Co to za logos, czy aby nie jakieś homo-niewiadomo? - skrzywił się jeszcze na widok dyskretnego logo Ziemi. Po moim solennym zapewnieniu, że bejsbolówka opatrzona jest – neutralnym płciowo – logo naszej planety, rzucił mi (*sic!*) studolarowy banknot i w otoczeniu roju ochroniarzy rażno wymaszerował z pokoju, nieszczerze i krótko tłumacząc się groźbą spóźnienia na kółko rusznikarsko-różańcowe.

Zatarłem ręce, jak po skutecznym wykonaniu nieprzyjemnego, acz ważkiego zadania.

Odtąd poszły wspaniałe dni. Trump prawdopodobnie był nawet bardziej przesądny, niż dawał to po sobie poznać, bo w naszej bejsbolówce pojawiał się odtąd, ilekroć tylko przyszło mu występować publicznie. Dyskretnie logo Ziemi na granatowym tle zagościło więc na farmach Kansas, w teksańskich szybach, platformach w Zatoce, prowincjonalnych kościółkach, czy złomowiskach Detroit. Urządzenie działało – i to jak. Niewiele wody przetoczyła Missisipi, gdy nasz pacjent jął stawiać na głowie swą dotychczasową politykę. A to widziano go nad ranem, żłowiącego *tequilę* w towarzystwie soli, cytryny i nielegalnych Meksykanów, a to podzielił się z widownią *selfie* w podkopie pod wspieranym do niedawna przez siebie murem granicznym, a to oświadczał, że intensywnie uczy się hiszpańskiego, a wszystkie bomby jądrowe należałoby wysłać na orbitę, jako zabezpieczenie przed nadlatującymi, szczególnie od strony Słońca, większymi meteorami. Sukces wydawał się zupełny.

Euforię, jaka początkowo zapanowała w naszym sztabie, rychło wyparła jednak konsternacja, a w ślad za nią – popłoch. Oto bowiem wyborca, który – choć na wolę swego idola reagował z opóźnieniem, to jednak reagował iście po jankesku – jednoznacznie. Toteż słupki poparcia dla Trumpa zaczęły oscylować w bezpośredniej bliskości zera. I wtedy stała się jedna z tych niesamowitych rzeczy, bez których świat nie byłby tym, czym jest – Trumpa, z podobnym opóźnieniem, ale i podobną konsekwencją, zaczęli wybierać kolorowi. Kolorowi – ba! Plamiści, cętkowani, Demokraci, Zieloni, tęczowi, linoskoczkowie, bohema, zamiatacze, czwororęczni, weterani lata miłości, ludzie-szyldy, kościuszkowcy, i kto wie któż jeszcze... Magiczne słupeczki, przez chwilę smutno przywiedle, wytrysnęły ze zdwojoną siłą – dając Donaldowi Trumpowi ostateczny nokaut na oponentach i rychłą wygraną w cuglach. Jego zaprzysiężenie transmitowała na żywo ponoć nawet Korea Północna i dżihadyści.

Ci ostatni zaczęli zresztą, zgodnie ze swoim zwyczajem, chałupniczo produkować podróbki Trumpowskiej, granatowej furazerki, naturalnie z odpowiednio spreparowanym,

niebiańskim logo. Trend ten próbuje wykorzystać Zachód - obecnie ma miejsce szeroko zakrojona operacja wywiadów, mająca na celu zarzucenie dżihadystycznego rynku podróbkami z modułem hipno – i chyba przebiega ona nie bez sukcesów, bo media elektroniczne doświadczyły zalewu nagrań, zasyłanych przez trapiionych chyba wyrzutami sumienia zbójów, na których odrzynają oni na żywo swe własne czerepy – z nieocenionym, jak można sądzić, pożytkiem dla ludzkości.

Jakżem nadmieniał, na Czomolungmie nie ma gniazdek elektrycznych – a wesoły ekran aparatu oświadcza, iż pozostało nam już tylko piętnaście wspólnych minut. Z racji zaś, iż chcę jeszcze zdążyć uaktualnić status (wpiszę: 8848) na tym portalu, którego ikonę w Filthonie z dumą nosiły przy sutku aktywistki-lobbystki, dodam tylko, że moje *dejavu* osiągnęło absolutną pełnię, gdy w (zawadiacko przekręconej daszkiem wstecz) naszej furażerze zaczął pojawiać się również pan W.P. Podobnież dostał ją w upominku z kalifatu – i najpewniej była to spreparowana, szpiegowska wersja, bo parę niedziel później Krym ogłoszono strefą zdemilitaryzowaną, a na Bajkonur ruszył pierwszy transport głowic bojowych, ku wyposażeniu wspomnianego już ogólnoswiatowego arsenału przeciwmeteoritowego. Chodzą słuchy, że wypadki, do jakich doszło potem – abdykację wiadomego dżentelmena i jego samorzutne zlegnięcie na przeszkłonym katafalku – spowodować musiał był dramatycznie niski stan baterii urządzenia. Fakty są jednak faktami. Pamiętajcie więc, by zawsze... [BATTERY CRITICALLY LOW – END OF MESSAGE]

Marcin Maślanka, sierpień 2015